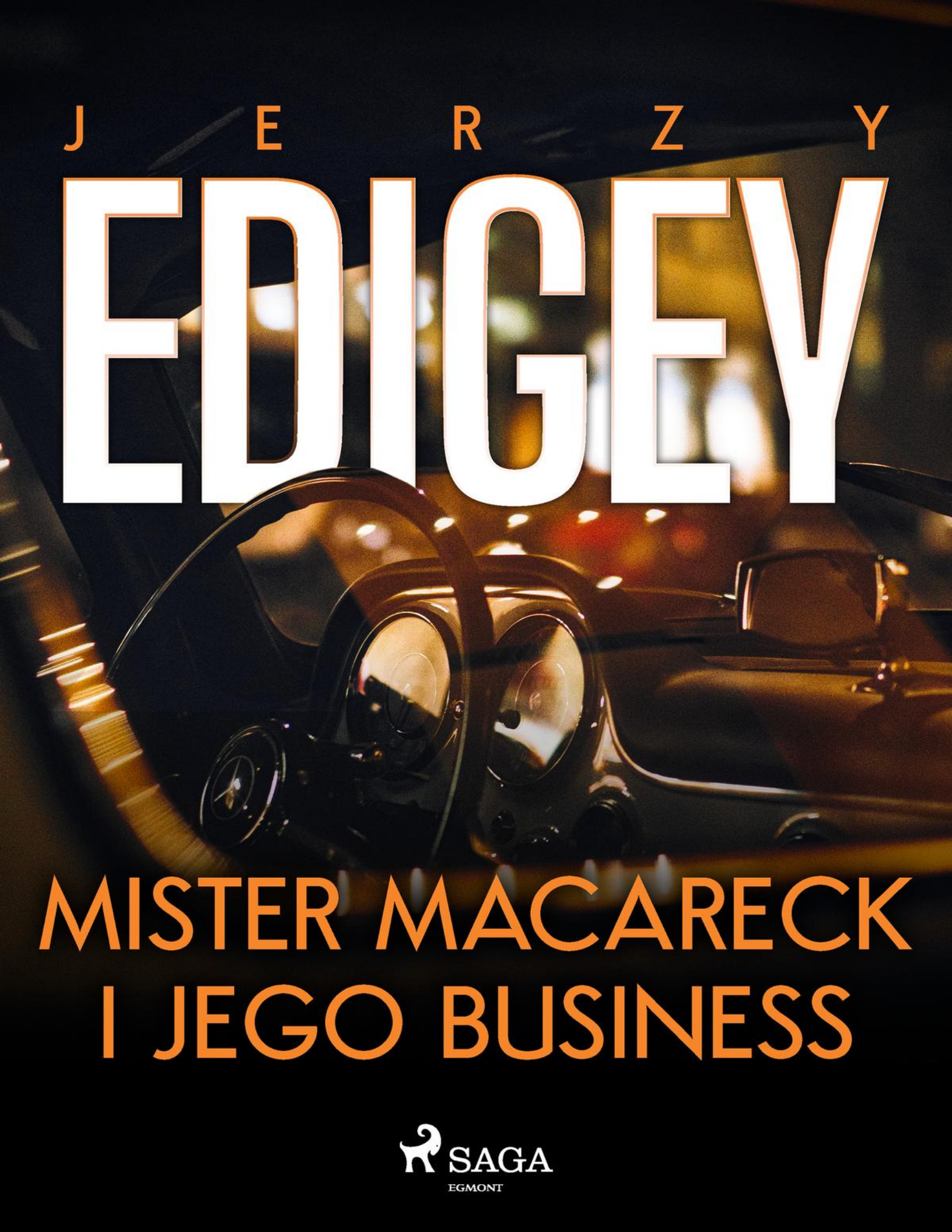


J E R Z Y

EDIGEY



MISTER MACARECK
I JEGO BUSINESS

J E R Z Y
EDIGEY

**MISTER MACARECK
I JEGO BUSINESS**

 **SAGA**
EGMONT

Jerzy Edigey

Mister Macareck i jego business

Saga

Mister Macareck i jego business

Język, postacie i poglądy zawarte w tej publikacji nie odzwierciedlają poglądów ani opinii wydawcy. Utwór ma charakter publikacji historycznej, ukazującej postawy i tendencje charakterystyczne dla czasów, z których pochodzi.

Copyright © 1964, 2021 Jerzy Edigey i SAGA Egmont

Wszystkie prawa zastrzeżone

ISBN: 9788728049723

1. Wydanie w formie e-booka
Format: EPUB 3.0

Ta książka jest chroniona prawem autorskim. Kopiowanie do celów innych niż do użytku własnego jest dozwolone wyłącznie za zgodą Wydawcy oraz autora.

www.sagaegmont.com

Saga jest częścią Grupy Egmont. Egmont to największa duńska grupa medialna, należąca do Fundacji Egmont, która każdego roku wspiera dzieci z trudnych środowisk kwotą prawie 13,4 miliona euro.

ROZDZIAŁ I

Kiedy tego dnia rano przyszedłem do redakcji, sekretarka, popularna i lubiana przez wszystkich pani Lucyna, powitała mnie słowami:

- Naczelnny trzy razy pytał o pana. Dzwoniłam do domu, ale nikt już nie podnosił słuchawki. Naczelnny prosił, żeby pan zaraz się u niego zameldował.

Skrzywiłem się. Takie nagłe zainteresowanie naczelnego redaktora moją skromną osobą, i to od samego rana, nie wróżyło nic dobrego.

- O co chodzi? Nie wie pani? - usiłowałem się czegoś dowiedzieć przed wizytą w gabinecie szefa. - I jak tam naczelnny dzisiaj?

- Lepiej... Lepiej nie pytać. Obrugał i redaktora Bociańskiego, i wszystkich korektorów. Dostało się nawet „nocnemu”, że zmienił rozkładówkę bez porozumienia z nim. Pewnie wczoraj na brydżu karta mu nie szła.

Cóż było robić? Bez większego entuzjazmu otworzyłem drzwi do gabinetu naczelnego redaktora. Właśnie rozmawiał przez telefon i tylko wskazał mi ręką krzesło naprzeciwko biurka. Kiedy położył słuchawkę, „strzelił” do mnie od razu krótkim pytaniem:

- Zbrodnię Vasco da Gama pan zna?

Potwierdziłem skinieniem głowy, szukając w zakamarkach pamięci szufladki z wykładami historii i geografii. Przypominałem sobie gorączkowo dawne czasy - Gimnazjum imienia Mikołaja Reya, wykłady profesora Ewerta... Nie! Chyba Leśniewskiego. Wiek bodaj szesnasty, wielkie odkrycia i podróże naokoło świata. Wśród nazwisk

słynnych podróżników w pamięci mojej odżyło i to dźwięczne portugalskie – Vasco da Gama. Ale co ten facet robił? Chyba szukał drogi do Indii? A może opłynął ląd Afryki? Jednakże o jego zbrodniach żaden z reyowskich belfrów nie mówił nigdy ani słowa.

Tymczasem naczelny od pytań przeszedł do ataku:

– Skoro pan znał tę sprawę, to dlaczego nic o niej nie pisaliśmy? Wszystkiego sam muszę dopilnować! Nikt się nigdy niczego nie domyśli! Nikt się niczym nie interesuje! Żadnego z was pismo nic nie obchodzi. Potraficie tylko gdzie indziej gonić za wierszówką!

– Mieliliśmy ostatnio bardzo dużo szlagierów – broniłem się na ślepo. – A z miejscem było, jak sam pan wie, zupełnie źle. Trzy moje „kawałki” już prawie miesiąc leżą u Kazia.

– Leżą, bo nudne. Dobry materiał zawsze pójdzie.

Dyplomatycznie milczałem. Na pewno naczelnemu wczoraj karta nie szła...

– Mniejsza o to – ciągnął dalej szef. – Jutro zaczyna się proces w Szczecinie. Zrobi pan zaraz „zajawę” na pierwszą stronę, że „nasz specjalny wysłannik” i tak dalej, a na „dwójkę” krótko o sprawie. Na jakieś siedemdziesiąt wierszy. O godzinie drugiej po południu ma pan samolot do Szczecina. Trzeba zaraz posłać gońca po bilet. Dzwoniłem przed chwilą i zarezerwowali nam ostatnie miejsce. Ze Szczecina zadzwoni pan wieczorem i da „migawki” oraz rozmówki przed procesem. Jutro do godziny jedenastej przetelefonuje pań początek rozprawy. Pójdzie to na pierwszą kolumnę. W Szczecinie zostanie pan do końca procesu. Niech się pan tak urządzi, żebyśmy mogli podać do numeru wyrok w dniu jego ogłoszenia.

– Nie zdążę dzisiaj wyjechać. Chyba w nocy. Na rano będę w Szczecinie i nadam otwarcie rozprawy – usiłowałem się bronić, nie rozumiejąc zupełnie, dlaczego sympatyczny podróżnik portugalski o muzycznym nazwisku ma mieć

proces w Szczecinie, i to w paręset lat po swojej śmierci. I dlatego właśnie ja mam być tym „naszym specjalnym sprawozdawcą”. Nie może to naczelny wysłać kierownika lub kogoś z działu kulturalnego albo naszego specjalisty od komunikacji, redaktora Modzia?

- Pojedzie pan samolotem za cztery godziny - naczelny był nieubłagany.

- Przecież nie mam pieniędzy, a kasa nie zdąży wziąć z RSW „Prasy” - chciałem odwlec swój wyjazd, wynajdując różne przeszkody.

- Rozmawiałem z naszym dyrektorem. Na razie dadzą panu tysiąc złotych z nieodebranych wierszówek. Jeżeli proces potrwa dłużej, doślemy. W najgorszym razie pójdzie pan w Szczecinie do którejś z miejscowych gazet i otworzą nam krótki kredyt.

- Ale ja nie mam hotelu zarezerwowanego. W Szczecinie o nocleg w ogóle bardzo trudno, a cóż dopiero w czasie takiego procesu.

- Nie zginie pan - szef był nieugięty w swoim postanowieniu. - No, do widzenia i szczęśliwej drogi. A przedtem proszę nie zapomnieć o „zajawie” i siedemdziesięciu wierszach na drugą stronę.

Z gabinetu naczelnego wyszedłem zupełnie zgnębiony. Wcale mi się nie uśmiechało tłuc nad Odrę i robić proces jakiegoś tam Portugalczyka. I co ja napiszę w „zajawie”, skoro nic nie wiem? Postanowiłem szukać pomocy w dziale kulturalnym.

Kierowniczkę działu kulturalnego, panią Karolę, zastałem w jej pokoju. Właśnie kończyła recenzję teatralną i oczywiście nie miała czasu na rozmowy.

- Nie wie pani, jaką to zbrodnię popełnił Vasco da Gama?
- zapytałem.

Pani Karola przerwała na chwilę stukanie na maszynie i spojrzała na mnie wymownym wzrokiem.

- Przy takich upałach trzeba jednak nosić jakieś nakrycie głowy - odpowiedziała współczująco i powróciła do swojej pracy.

Jak niepyszny wyniosłem się z jej gabinetu i poszedłem do popularnego w redakcji Modzia. Spec od zagadnień miejskich i komunikacyjnych powinien coś wiedzieć o wielkim podróżniku, jakim był niewątpliwie Vasco da Gama. Ale Modzio również nic nie wiedział. Obiecał wprowadzić zadzwonić do Ministerstwa Komunikacji, lecz nie miałem wielkiej nadziei, aby stamtąd uzyskać potrzebne mi informacje.

Na korytarzu napatoczył mi się redaktor Bociański, popularnie zwany Koniem, nie tyle od zamięłowań do koników, ile do totalizatora wyścigowego. Koń wpadł na genialną myśl.

- Jeśli proces tego Portugala jest w Szczecinie, to przejrzyj komplet „Kuriera Szczecińskiego”. Miejskowa prasa musiała coś pisać. Oni zawsze mają dobre wiadomości z portu. Zapewne chodzi o jakiś proces morski. Przecież Vasco da Gama podróżował na statkach. Może nawet był kapitanem? Może wpadł na inny statek przy nadbrzeżu portowym? W sądach morskich często rozpatrują sprawy cudzoziemców, więc i twój mógł coś przeszkrobać. Że co? Mówisz, że nie żyje od czterystu lat? To po co sobie naczelny nim głowę zawraca? Najlepiej spytaj naczelnego, o co chodzi.

- Spytaj sam, kiedyś taki mądry - odpowiedziałem i pobiegłem piętro wyżej do archiwum redakcyjnego.

Za chwilę przede mną leżała zszywka numerów „Kuriera Szczecińskiego” za okres ostatniego kwartału. Nie musiałem długo szukać. Gazeta sprzed dwóch dni podawała na pierwszej stronie pod dużym tytułem wiadomość o rozpoczynającym się w środę procesie. Tytuł przez pięć szpalt brzmiał:

ZBRODZIA NA BULWARZE VASCO DA GAMA!
CZY MAŻ BYŁ MORDERCĄ WŁASNEJ ŻONY?
WIELKI PROCES POSZLAKOWY
W SĄDZIE WOJEWÓDZKIM

Szybko przeczytałem doskonały opis sprawy. Oto parę tygodni temu wędkarze, łowiący przy bulwarze Vasco da Gama, nadbrzeżu Odry, zamiast ryby wyciągnęli z wody obciętą głowę kobiety. O makabrycznym odkryciu natychmiast zawiadomiono Komendę Wojewódzką Milicji Obywatelskiej. Wraz ze specami z MO przyjechali również nurkowie sprowadzeni z Zarządu Portu. Badając muliste dno rzeki, odkryli dalsze części zwłok kobiecych – tułów i oddzielnie ręce i nogi. Do zwłok przywiązane były drutem kamienie, kwadratowe kostki granitu, jakich używa się do brukowania ulic. Nieopodal, w zaroślach przylegających do bulwaru, odnaleziono dużą walizkę bez wierzchu i kilka arkuszy papieru ze śladami, które później zostały zdefiniowane jako krew. Na papierze znaleziono parę włosów, identycznych z włosami kobiety wyłowionej z Odry.

Energicznie prowadzone śledztwo pozwoliło dwa dni później ustalić tożsamość ofiary. Zdjęto odciski palców i przesłano do Warszawy. Tutaj, w Głównym Biurze Dokumentacji, stwierdzono, że są to odciski mieszkanki Szczecina, zamieszkałej w pobliżu Dworca Głównego, mężatki, z pochodzenia Rosjanki, która wyszła za mąż za Polaka, kierownika jednego ze stoisk w Powszechnym Domu Towarowym. Po otrzymaniu tych danych milicja udała się do PDT i tam zapytała pana Józefa M. o jego żonę. Wyjaśnił, że żona wyjechała do Legnicy z pewnym oficerem, swoim znajomym, i ma wrócić następnego dnia wieczorem.

W mieszkaniu państwa M. przeprowadzono natychmiast rewizję. Wykryła ona kilka arkuszy papieru identycznego ze znalezionym na bulwarze Vasco da Gama oraz tego samego

gatunku drut, którym przywiązano kamienie do obciążenia zwłok. W piwnicy znaleziono również pewną ilość kostek granitowych. Ponadto sąsiedzi stwierdzili, że przed dwoma dniami, a więc jeszcze przed makabrycznym połowem wędkarzy, słyszeli w mieszkaniu krzyki kobiece i odgłosy podobne do bójki. Dodatkowym dowodem obciążającym było znalezienie w łazience ścierki ze śladami krwi. Niestety, nie udało się ustalić jej grupy. Znaleziono także całą garderobę zmarłej, a zeznania jej męża, że wyjeżdżająca ubrała się w zielony płaszcz, czarną spódniczkę i popielaty sweter, stały w jaskrawej sprzeczności z oświadczeniami przyjaciółek i znajomych zamordowanej. Twierdziły one, że takiego stroju zmarła w ogóle nie posiadała.

Poza tym dochodzenie ustaliło, że małżonkowie źle ze sobą żyli i doszło do tego, że żona rzuciła pana M. i wyjechała do swojej rodziny w ZSRR. Po pewnym jednak czasie mąż pojechał w ślad za nią i sprowadził z powrotem. Walentyna M. była zamożna. Ponownie wracając do męża, przywiozła ze sobą sporą ilość biżuterii, kilkanaście pierścionków i obrączek oraz złotych zegarków. Ostatnio Józef M. zdradzał żonę, a nawet postanowił wspólnie ze swoją kochanką otworzyć prywatną kawiarnię nad brzegiem Jeziora Głębokiego.

Łącząc te wszystkie poszlaki w logiczną całość, prokurator – a w sprawie tej miał oskarżać młody, ale bardzo zdolny i świetny mówca, prokurator Kasprzak – w doskonale zbudowanym akcie oskarżenia dowodził, że w tym stanie rzeczy jedyną osobą zainteresowaną w usunięciu Walentyny M. był jej mąż. Zyskiwał on i wolność, i pieniądze na otworenie kawiarni.

Zupełnie inne stanowisko zajęła obrona. Oskarżony nie przyznał się do winy i twierdził, że jego żona prowadziła różne podejrzané interesy z jakimś oficerem z Legnicy.

Zapewne ten właśnie oficer zamordował jego żonę. Być może pokłócili się o podział zysków lub też morderca chciał usunąć niewygodnego świadka, który za dużo wiedział o niezbyt czystych aferach swojego współnika. Pan M. podawał rysopis oficera i jego imię. Obrona zarzucała więc milicji, że prowadziła ona śledztwo jednostronnie, koncentrując je wyłącznie na gromadzeniu poszlak przeciwko oskarżonemu, a nie dołożyła starań dla odszukania tajemniczego wojskowego.

Proces jako „poszlakówka” – twierdził dobrze zazwyczaj poinformowany „Kurier Szczeciński” – zapowiadał się wręcz pasjonująco, bo zarówno prokurator, jak obrona nie odkryli jeszcze wszystkich kart i mają w zanadrzu niejedną niespodziankę. Rozprawa wzbudziła olbrzymie zainteresowanie w Szczecinie i o bilety wstępu toczą się boje równie zacięte, jak przed delikatesami z chwilą pojawienia się tam w sprzedaży pomarańcz.

Nareszcie byłem w domu! Nie zbrodnia starego Portugalczyka, ale proces poszlakowy o zbrodnię na bulwarze Vasco da Gama. Jak zwykle naczelny słyszał dzwony, ale nie wiedział, w jakim kościele dzwonią. Teraz nawet wyjazd do Szczecina za niecałe cztery godziny malował mi się w bardziej różowych barwach.

Szybko napisałem „zajawę” i po prostu zerznąłem te siedemdziesiąt wierszy z „Kuriera Szczecińskiego”. Po podrzuceniu obydwu kawałków u sekretarza redakcji i zainkasowaniu zaliczki, wycygałem samochód redakcyjny, aby pojechać do domu po kilka drobiazgów, a później na lotnisko. Wszystko poszło szczęśliwie, lot był bardzo przyjemny. W powietrzu było dużo chłodniej niż w lipcowej spiekocie na warszawskich ulicach, a słynne parówki sprzedawane w czasie postoju na poznańskim lotnisku jak zawsze bardzo smaczne. Około piątej po południu stanąłem na ulicy Wojska Polskiego.

Poszedłem wprost do „Gryfa”. Na mój widok sympatyczna portierka hotelowa rozłożyła ręce:

- Pan jest dzisiaj pięćdziesiątym, który pyta o pokój, a nie mamy żadnego wolnego. W Szczecinie są aż cztery zjazdy. Geodetów, specjalistów od osuszania błot i torfowisk. Drugi to rzeźników drobiowych. Trzeci radców prawnych Cepelii, a czwarty miłośników regionu podgórskiego na Dolnym Śląsku. Wszystkie hotele zajęte aż do strychu.

- Ale przecież wszystkie klucze wiszą na swoich wieszakach.

- Bo ci panowie obradują w Międzyzdrojach. Dojeżdżają tam codziennie autokarami. Chyba że zwiedzają port szczeciński. Wtedy obrady toczą się na statku. U nas w czerwcu, lipcu i sierpniu stale są zjazdy.

- A zimą?

- Zimą mamy spokój. Na zjazdy wybiera się Zakopane lub Krynice. W ostateczności uzdrowiska dolnośląskie. Przecież pan o tym wie, redaktorze. Tak było i tak jest.

Wiedziałem, więc tylko zakląłem i wyruszyłem na dalszą wędrowkę po innych miejskich hotelach. Niestety, portierka mówiła prawdę. W każdym, bez względu na kategorię i wielkość, niezmiennie odpowiadano mi:

- Nie tylko pokoju, ale łóżka wolnego nie mamy. Nawet na dostawkę. Również wszystkie fotele są już zamówione przez przejezdnych, którzy wolą w holu się przekimać, niż spędzić noc w poczekalni kolejowej. Adresy prywatne zostały już rozdane. Także w Domu Szwedzkiego Marynarza jest komplet, bo pastor prowadzący tę placówkę przygarnął bezdomną wycieczkę.

Bez cienia nadziei poszedłem do ostatniego szczecińskiego hotelu. Przed jego wejściem stał zaparkowany piękny popielaty wóz – mercedes 300SE. Sportowa maszyna została przerobiona na śliczny kabriolet. Od pierwszego rzutu oka można było spostrzec, że to nie

seryjna robota. Taki wóz musiał kosztować majątek, co najmniej osiem – dziesięć tysięcy dolarów. Samochód miał francuskie znaki rejestracyjne.

W recepcji powiedziano mi krótko, że hotel przeznaczony jest dla cudzoziemców. Tylko wyjątkowo, gdy są wolne miejsca, odstępuje się je obywatelom PRL. Ale w sezonie zdarza się to bardzo rzadko. Obecnie nic wolnego nie ma. Adresów prywatnych noclegów również nie ma. Słowem – generalna klapa. Przyjdzie chyba nocować pod którymś z mostów szczecińskich. Oto gorzki los „specjalnego wysłannika” wielkiego dziennika warszawskiego.

– Czyj to taki piękny wóz stoi przed wejściem? – zagadnąłem pana z recepcji, licząc, że może w ten sposób trafię do jego łask i wykombinuje mi już nie pokój, o tym przestałem nawet marzyć, ale przynajmniej jakiś wygodniejszy fotel w jednym z saloników hotelowych. Nocne lokale Szczecina otwarte są do godziny trzeciej w nocy. Od trzeciej do rana mógłbym się trochę przedrzemnąć przed otwarciem rozprawy i dzięki temu może nie usnąłbym na sali sądowej w czasie czytania aktu oskarżenia.

– Mercedes – odpowiedział portier z namaszczeniem w głosie – należy do Amerykanina Henry’ego MacArecka. Mister MacAreck już od kilku dni bawi w naszym hotelu. Bogaty gość.

To uzupełnienie było całkiem zbędne. Orientowałem się dobrze, że właściciel takiego wozu na pewno nie jest urzędnikiem pocztowym ani konduktorem na linii autobusowej.

– O, właśnie schodzi ze schodów – konspiracyjnie szepnął do mnie portier, zginając się jednocześnie w głębokim ukłonie i ozdabiając swoją twarz uśmiechem przeznaczonym tylko dla gości dających najwyższe napiwki.

Ze schodów schodził mężczyzna w wieku około lat pięćdziesięciu, ale, jak zwykło się mówić, dobrze

zakonserwowany. Przystojna twarz, śniada cera przyjemnie kontrastująca z jasnymi włosami. Ruchy miał energiczne, figurę zgrabną, wysoką, chociaż z pierwszymi zadatkami starannie ukrywanej tendencji do otyłości. Jego sylwetka przypominała mi kogoś znajomego.

Amerykanin, ubrany w lekkie popielate ubranie, idealnie stonowane z kolorem auta, zbliżył się do nas, położył klucz na ladzie recepcji i zagadnął coś po angielsku do portiera. W tym momencie poznałem go.

To przecież nie żaden mister Henry MacAreck, jak mówił portier, tylko Henio Makarek, mój kolega szkolny jeszcze z tych czasów, gdy siedzieliśmy na jednej ławce w klasie na czwartym piętrze Gimnazjum imienia Mikołaja Reya w Warszawie przy placu Małachowskiego. Wyżej nad nami znajdował się jedynie napis *Macte animo*. Przybysz poznał mnie również. Uśmiech rozlał się na jego obliczu. Klepnął mnie w ramię, aż się przegiąłem, i powiedział:

- *Mister George Edigey? Yes?* - i dodał już po polsku: - Jak się masz, stary byku!

Padliśmy sobie w ramiona. Wytworny pan z recepcji nie umiał ukryć swojego zdziwienia i zgorszenia. Czy to możliwe, aby amerykański milioner rzucał się na szyję pierwszemu lepszemu pismakowi z Warszawy? Takiemu, który nie tylko nie jest „cudzoziemcem dewizowym”, ale nawet nie ma zamówionego pokoju. Nie mówiąc o tym, że nie daje napiwków ani w dolarach, ani w zwykłych nawet złotówkach.

- Co robisz w Szczecinie? - zapytałem po czułym powitaniu.

- Przyjechałem w odwiedziny do ojczyzny. Pierwszy raz od 1939 roku. Dotarłem do Szczecina i utknąłem w tym pięknym mieście. Jestem w nim zakochany i nie mogę się stąd wyrwać. Siedzę cztery dni, a obiecywałem sobie, że

zatrzymam się jedynie na nocleg i następnego poranka pojadę do Warszawy. A ty co tu robisz? Mieszkasz stale?

- Nie. Przyjechałem na proces sądowy. Jestem dziennikarzem i mieszkam w Warszawie. Przyleciałem godzinę temu i zdążyłem obejść wszystkie hotele. Nigdzie nie ma miejsca. Przyjdzie mi chyba nocować pod mostem.

Henry MacAreck roześmiał się.

- Proszę przygotować temu panu pokój - zwrócił się do portiera.

- Ciężko będzie, panie prezesie - tłumaczył portier - naprawdę wszystko mamy zajęte.

- Nie zwracajcie mi głowy, takie bajeczki może pan opowiadać swoim dzieciom, nie mnie. Idziemy teraz na kolację. Przed naszym powrotem rzeczy tego pana mają być już rozpakowane w jego numerze. Pokój ma przylegać do mojego. Zrozumiano?

Wytworny pan z recepcji ponownie zgiął się w ukłonie.

- Czego ja dla pana prezesa nie zrobię. Chociaż, jak Boga kocham, narażam swoją posadę. Będę musiał Niemca z NRF przeprosić i przenieść na czwarte piętro.

- No tak. To rozumiem! To lubię! A to dla pana - MacAreck sięgnął niedbałym gestem do kieszeni i rzucił na ladę zwinięty w czworo zielony papiererek. Zniknął on błyskawicznie w wyciągniętej dłoni portiera, zaledwie zdążyłem zauważyć napis *Five dollars*.

Muszę przyznać, że chociaż memu dawnemu koledze szkolnemu, podobnie jak mnie, przybyło od czasu, kiedy widzieliśmy się ostatnio, i sporo latek, i nawet parę kilogramów, pod jednym względem nic się nie zmienił. Pozostał mu ten pewny siebie, rozkazujący głos i chęć imponowania ludziom. Jestem przekonany, że takim samym gestem rzuciłby portierowi tę pięciodolarówkę nawet wówczas, gdyby nie miał pięknego mercedesa i gdyby ten banknot był ostatnim w jego kieszeni.

Gdy tylko znaleźliśmy się w restauracji hotelowej, kierownik sali wyrósł jak spod ziemi, aby uprzejmym gestem wskazać nam stolik. Nie zdążyliśmy jeszcze usiąść, gdy dwóch kelnerów podawało listę potraw i kartę win.

- Kochany stary kraj - rozczulał się Henio. - Jaka tu wszędzie uprzejmość i jaka szybka obsługa. Polska ma chyba najlepszych i najszybszych kelnerów na świecie. Po prostu zgadują myśli człowieka.

Rzucił okiem na kartę i składając ją, powiedział do kelnera:

- Po co mamy się męczyć? Niech pan da nam specjalnie dobrą kolację. Spotkałem przyjaciela, którego nie widziałem od dwudziestu trzech lat. Trzeba to godnie uczcić. Daj pan to, co macie najlepszego do jedzenia i picia. Tylko nie żadne koniaki i inne mieszaniny wody z mydłem i gliceryną, a uczciwe polskie wódki. Głodny jestem jak wilk.

W chwilę potem stół był zastawiony najrozmaitszymi smakołykami, a ze srebrnego wiaderka wystawały szyjki najprzedniejszych trunków. Henio, spoglądając na mnie rozmarzonym wzrokiem, ciągnął dalej:

- W Ameryce kelner wydziwiałby na gościa, że nie umie z karty wybrać, a tu grzecznie, uprzejmie i szybko cały stół nakryli. Tak jest w Polsce wszędzie, od pierwszej chwili, gdy przekroczyłem granicę. Na pierwszej napotkanej stacji benzynowej nawet mnie nie pytali, czy sobie życzę, lecz zupełnie bezinteresownie wymyli auto i zmienili olej. Rachunku za to nie wystawili, tylko ukłonili się i życzyli dobrej podróży. A gdy im dałem dziesięć dolarów, sam kierownik wyskoczył ze swojego kantorka i dopóki wóz nie zniknął na zakręcie, wszyscy machali na pożegnanie rękoma. A w hotelu jacy mili i grzeczni! Przyjechałem prosto z Francji, gdzie bez napiwku, i to grubego, nikt dla ciebie nic nie robi. Wszędzie tylko „pourboire” i „pourboire”. Tutaj natomiast ludzie uśmiechnięci, weseli,

radzi by nieba przychylić. Rozdałem parę pięciodolarówek. We Francji portier obraziłby się, gdybym ośmielił się dać mu taki napiwek, a w Szczecinie każdy bierze bez skrzywienia. Jeszcze udają zadowolonych. Widziałeś, jak ten facet z recepcji starał się, żeby dla ciebie pokój wykombinować? Co za kraj, co za wspaniały kraj!

- A dużo masz tych pięciodolarówek? - zapytałem.

- O, nie bój się. Jestem bogaty. Na wasze europejskie stosunki nawet bardzo bogaty. Oczywiście jeśli chodzi o Amerykę, to można o mnie mówić, że jestem dopiero na dorobku. Dojeżdżam do pierwszego miliona. Dużo się, bracie, zmieniło od czasu, kiedy widzieliśmy się ostatni raz. Pamiętasz, było to w małym lasku pod wsią Rzakta koło Otwocka. Namawiałem cię, żebyś poszedł z nami. Kto wie, może dzisiaj również rozdawałbyś pięciodolarówki, zamiast pracować w jakiejś tam gazecie...

- Skąd masz tego pięknego mercedesa?

- To drobiazg! Mogłem zresztą sam go sobie kupić, ale dostałem od trzech przyjaciół-Francuzów na pamiątkę znajomości. Kiedyś przy sposobności opowiem ci tę historię. A teraz zabierajmy się do jedzenia, bo wódka szkłem przechodzi. Widzisz, nie zapomniałem waszych polskich powiedzeń.

- Ale ten wóz chyba nie z seryjnej roboty?

- Nie, robiony na zamówienie jakiegoś bogatego Argentyńczyka. Zapłacił za maszynę około dwunastu tysięcy dolarów, lecz później tak mu karta nie szła w kasynie w Nicei, że musiał go sprzedać za połowę wartości. Z kolei trafił w moje ręce.

- Masz bogatych przyjaciół, których stać na takie prezenty.

- Musieli to zrobić. Nie mieli innego wyjścia. Jeszcze nawet sporo moniaków dołożyli na benzynę do tego wozu i

byli bardzo zadowoleni, gdy już przekroczyłem granicę francusko-włoską. Ale dajmy temu dzisiaj spokój.

- Powiedz przynajmniej, na czym zrobiłeś forszę.

- Na chciwości i zachłanności ludzkiej. Na tym, że bogaty człowiek nie pominie żadnej okazji, aby biedniejszego od siebie wyzuć z resztek jego dobytku. Nie myśl – głos mojego przyjaciela nagle stracił swoją serdeczność i zabrzmiał twardo jak zgrzyt stali – że ja nie zaznałem nędzy. Życie mnie nie pieściło przez długie lata, dopóki nie pojąłem tej prawdy. Pracowałem łopatą, wrzucając tony węgla do kotłów centralnego ogrzewania, wiem też, co znaczy stać na nogach przez osiem godzin w ciasnym, dusznym pomieszczeniu i bez przerwy zmywać setki i tysiące talerzy. Moje uniwersytety znajdowały się w slumsach Londynu i wśród kanałów portowych Antwerpii. Byłem jednak pojętnym uczniem. Dlatego zdołałem się stamtąd wyrwać, mimo że tysiące takich jak ja tkwi w tym do dzisiaj. No, twoje zdrowie, stary!

Reszta wieczoru upłynęła wśród rozmów o dawnej Warszawie, o czasach szkolnych i wspominkach, co porabiają dawni koledzy, a który z nich nie przeżył wojny i okupacji. Było już bardzo późno, gdy na dziwnie miękkich nogach opuszczałem restaurację.

Portier, chociaż nie ten „staruszek” z piosenki, „z uśmiechem wręczył klucz” i poinformował, że pokój jest koło numeru mister MacArecka. Chciałem płacić, ale dowiedziałem się, że „mister MacAreck kazał to zapisać na swój rachunek”. Gdy robiłem Heniowi wymówki, tłumacząc, że jestem w delegacji służbowej i płacę za hotel nie z własnej kieszeni, tylko pieniędzmi RSW „Prasa”, serdecznie się roześmiał.

- Niech więc to będzie mój wkład dla dobra prasy polskiej – powiedział.

Położyłem się do łóżka. W głowie mi nieźle szumiało, a wypite filiżanki kawy nie pozwalały zasnąć. Wraciałem ciągle myślami do dzisiejszego spotkania i do przedzierzgnięcia się mojego szkolnego kolegi, Henryka Makarka, w milionera amerykańskiego, mister Henry'ego MacArecka. Postanowiłem, że wyciągnę z niego całą historię jego życiowych przygód między naszym ostatnim spotkaniem tego pamiętnego września 1939 roku a spotkaniem w Szczecinie siedemnaście lat po wojnie.

Później zapadłem w rodzaj półsnu. Jak w dziwnym filmie przesuwają się przed moimi oczyma najrozmaitsze obrazy. Widziałem naszą klasą ósmą „B” w Gimnazjum imienia Mikołaja Reya, z pocziwym naszym wychowawcą, profesorem Olearskim. Wycieczki do Rejówka pod Górą Kalwarią, gdzie Henio Makarek został złapany razem ze mną, Jurkiem Deublem i „papciem” Zbyszkim Kamińskim, gdy rznąliśmy w pokera. Nasza trójka już zdążyła schować karty, a Henio, który nie widział Olearskiego, bo siedział tyłem do drzwi, jeszcze się darł:

– Te pięć złotych i jeszcze dwadzieścia!

I jaką miał głupią minę, gdy wychowawca, zaglądając mu przez ramię w karty, powiedział spokojnie:

– Z takim stritem? Wstydziłbyś się tak licytować, Makarek.

Film z czasów szkolnych nagle się urywa. Dostajemy matury. Zwarta dotychczas klasa rozbija się na grupki. Jedni idą na uniwersytet, inni na politechnikę lub na WSH. Inni wreszcie nie chcą lub też nie mogą pozwolić sobie na luksus wyższych studiów i szukają pracy. Henio należał do tej ostatniej grupki. Zaczepił się w biurze filmowym w nieistniejącym dziś jednopiętrowym budynku w Alejach Jerozolimskich, nieopodal Marszałkowskiej, przed hotelem Polonia. Pamiętam, że nieraz dostawaliśmy od niego kartki na bezpłatne bilety do kina. Makarek nie zrobił wielkiej

kariery. Często powtarzał, że film to wielki interes, i snuł plany rozpoczęcia czegoś na własną rękę, ale brak pieniędzy stał temu na przeszkodzie. Nasz najlepszy tenisista i pływak dziwnie jakoś nie umiał dać sobie rady w życiu. Gdy więc reszta kończyła już wyższe uczelnie i niejeden zaczynał piękną karierę, popartą zresztą najczęściej pieniędzmi i stosunkami ojca, on wciąż był urzędnikiem w biurze filmowym.

Miał się żenić, poznałem nawet „babkę”, którą przedstawiał jako swoją narzeczoną. Musiała chyba mieć pieniądze, bo urodą nie grzeszyła i była starsza od Henia o dobre kilka lat. A przecież Makarek, przystojny, wysportowany chłop, cieszył się niesamowitym wprost powodzeniem u płci odmiennej. Ale do małżeństwa jakoś nie doszło.

Zaabsorbowany własnymi sprawami, coraz lepiej rozwijającą się praktyką adwokacką, rzadko wtedy kontaktowałem się z Heniem. Wiedziałem jednak, że nie powodzi mu się nadzwyczajnie. Z jego planów filmowych nic nie wyszło. Stracił nawet posadę w agencji i musiał zaczepić się na małej pensyjce w Polskim Banku Komunalnym, gdzie oczywiście startował „od zera”. Był bardzo zdolny, miał zawsze kapitalne pomysły, lecz nie potrafił podporządkować się urzędniczemu rygorowi. Praca w banku jest zajęciem bardzo specyficznym. Jak na złość Henio trafił do najbardziej nudnego i zrutynizowanego oddziału banku, jakim jest wydział czekowy. Polski Bank Komunalny nie miał dużego portfela klientów. Właścicielami kont czekowych były przeważnie zarządy miejskie prawie wszystkich miast w Polsce. Tą drogą były dofinansowywane na różne cele specjalne. Toteż ruch przy okienku Makarka był minimalny. Kilkadziesiąt czeków przez cały dzień. Chociaż były to чеки na poważne sumy, nie mogły wypełnić urzędnikowi ośmiu godzin pracy. Przeto w

wolnych chwilach rozkładał gazetę i czytał ją, co znowu nie mogło się podobać dyrekcji banku. Powoli więc awansował po szczeblach drabiny urzędniczej.

Gdy go spotykałem w tamtych czasach, był zgorzkniały. Po prostu nie widział przed sobą żadnych perspektyw. Mówił, że chciałby wszystko rzucić w diabły i wyjechać gdzieś z tego „przeklętego grajdoła”.

Nadszedł 1 września 1939 roku. Mieszkańców Warszawy obudził o siódmej rano pierwszy nalot samolotów hitlerowskich. W parę godzin później tysiące młodych ludzi oblegało żółty, jednopiętrowy budynek DOK na Pradze nad Wisłą. Wśród nich spotkałem Henia Makarka. Wybuch wojny przyjął z radością. Nareszcie – jak twierdził – coś się zmieni w tym pieskim życiu. Dostaniemy mundury, broń i pójdziemy „bić szkopów”. Niestety, ochotników odesłano do domu z kwitkiem. Jakiś major kazał wszystkim rozejść się, tłumacząc, że każdy otrzyma „kartę MOB” w odpowiednim czasie. Wróciliśmy spokojnie do swojej pracy. Nikt z nas jeszcze nie przypuszczał, że wypadki szybko przyjmą tragiczny obrót. Nikt nie wiedział, że opowiadania pana majora o kartach mobilizacyjnych, centrach szkoleniowych i rejonach uzupełnień są bajeczkami dla grzecznych dzieci, a dla nas nie ma ani mundurów, ani nawet zwykłych karabinów, nie mówiąc o sprzęcie specjalnym.

Wieczorem 6 września radio nadało osławiony rozkaz pułkownika Umiastowskiego do natychmiastowego opuszczenia stolicy przez wszystkich mężczyzn. Do dzisiaj historycy wiodą spór, czy był to akt piramidalnej głupoty, czy też zręczne posunięcie szpiega-dywersanta hitlerowskiego. Wszystkie szosy prowadzące na wschód od Warszawy zatarasowane zostały tłumami uciekinierów. Sparaliżowano wszelkie ruchy wojska. A na błękitnym, bez najmniejszej chmurki niebie nieustannie pojawiały się

eskadry stukasów, bombardujących i masakrujących ogniem karabinów maszynowych bezbronne tłumy.

Wśród uciekinierów i ja się znalazłem. Domaszerowałem aż do Brześcia. Przez most na Bugu już nikogo nie przepuszczano. Lada godzina miał być wysadzony w powietrze, ponieważ Niemcy przedarli się gdzieś spod Ostrołęki i zaatakowali miasto z drugiej strony.

Dalsza ucieczka nie miała żadnego sensu. Zawróciłem z powrotem na zachód. Bocznymi drogami i wprost przez pola udało mi się dotrzeć aż pod Otwock, nie natykając się nigdzie na Niemców. Z ust takich samych jak ja rajzerowi z opowiadań chłopów wiedziałem, że Warszawa wciąż jeszcze się broni. Zresztą już od Mińska Mazowieckiego słysząc było coraz wyraźniej huk armat, a widoczna w nocy stale zwiększająca się łuna kazała przypuszczać najgorsze. Z kilku przygodnie poznanymi młodymi ludźmi postanowiłem przeciąć szosę lubelską i brzegiem Wisły dotrzeć do obleżonej stolicy. Od szosy dzieliły nas tylko dwie wsie: Rzakta i Glinianka. Wiedzieliśmy, że w Gliniance stoi duży oddział wojska niemieckiego, natomiast Rzakta jest wolna. Postanowiliśmy dotrzeć do Rzakty i po odpoczynku zaryzykować przemknięcie się koło Glinianki przez szosę.

Z zachowaniem wszelkich ostrożności posuwaliśmy się w kierunku wsi. W pewnym momencie na naszej drodze znalazł się mały lasek, niby wysepka otoczony ze wszystkich stron polami kartoflanymi. Gdy weszliśmy do tego zagajnika, z zarośli wyskoczyło nagle dwóch żołnierzy w polskich mundurach. Usłyszeliśmy komendę:

– Ręce do góry! Nie ruszać się!

Za chwilę przyszedł podchorąży, sprawdził nasze papiery, wypytywał, skąd się tutaj wzięliśmy. Był wyraźnie zakłopotany naszą obecnością w zagajniku. Oddziałek żołnierzy ukrywał się już od kilku dni. Nikt, nawet mieszkańcy wioski, nie domyślał się jego obecności. Nasze

przypadkowe przybycie groziło im dekonspiracją. W końcu podchorąży postanowił zaprowadzić nas do dowódcy.

Szliśmy przez las. Wszędzie widać było dobrze zamaskowane od góry pozycje. W przeciwieństwie do licznych oddziałów-rozbitków wojsko miało doskonałe umundurowanie i uzbrojenie. Zauważyłem nawet kilka działek przeciwczołgowych i znaczną ilość karabinów maszynowych. Żołnierze byli ubrani starannie, czyści i ogoleni. W samym środku lasu znajdował się namiot dowódcy. Podchorąży znikł w nim i słyszeliśmy tylko jego służbisty meldunek:

- Panie kapitanie, chorąży melduje posłusznie, że warta zatrzymała i doprowadziła pięciu cywilów.

Płachta namiotu odchyliła się i nagle zobaczyłem przed sobą Henia Makarka w eleganckim mundurze kapitana ze wszystkimi dystynkcjami. Musiałem mieć bardzo zdziwioną minę, bo aż się roześmiał. Kazał dać jeść pozostałej czwórce, a mnie zaprosił do swojego namiotu. Gdy zostaliśmy sami, Henio wysłuchał naszych projektów i wytłumaczył, że nie ma mowy o przedarciu się do Warszawy. Zresztą, jego zdaniem, los stolicy, jak i całej kampanii w Polsce jest już przesądzony. Opór potrwa jeszcze parę dni, co nie ma zresztą żadnego strategicznego znaczenia. Można jedynie przebić się na Węgry, a stamtąd przez Jugosławię i Włochy do Francji. Jego oddział jutro w nocy wyrusza w drogę i może nas zabrać ze sobą.

- Jerzy, chodź ze mną - namawiał. - Mianuję cię porucznikiem i będziesz moim adiutantem.

Dopiero wtedy przypomniałem sobie, że przecież Makarek został wprawdzie przyjęty do podchorążówki kawalerii w Grudziądzu, ale po pięciu miesiącach zwolniono go z wojska. Przebył niebezpieczny upadek z konia i miał uszkodzony kręgosłup. Chodził przeszło rok w specjalnym gorsecie.

- Powiedz mi - zapytałem - skąd ten mundur i to całe wojsko, którym dowodzisz. Przecież cię zwolnili jako szeregowego rezerwy z kategorią „D”.

Henio roześmiał się wesoło.

- Mundur - powiedział - znalazłem z całą walizą innych materiałów w porzuconym samochodzie pod Lublinem. Panowie oficerowie wieli na wschód i widocznie po drodze zabrakło im benzyny. Ubrałem się w ten strój, sądząc, że taka maskarada pomoże mi w złapaniu jakiegoś środka lokomocji. Ale gdy tylko pokazałem się w mundurze, zaraz zaczęli się do mnie zgłaszać pojedynczy żołnierze niemogący odnaleźć pogubionych oddziałów, ba, całe oddziały, w których zostali jedynie młodszy dowódcy. Anim się spostrzegł, jak dowodziłem kilkuset ludźmi. Miałem ten sam plan co ty; przedrzeć się do Warszawy. Stoczyliśmy po drodze kilka potyczek, dwa razy nas rozbili, ale szybko znowu urosliśmy w siłę. Tak dotarłem aż pod Rzakę, jednakże dalsza droga do stolicy, nawet dla stosunkowo silnego oddziału jak nasz, jest niepodobieństwem. Dlatego postanowiłem przedzierać się na Węgry. To także nie będzie łatwe zadanie, ale mam nadzieję, że przynajmniej część z nas dojdzie.

- Czy warto? Za parę miesięcy wojna się skończy... Niech tylko Anglia i Francja uderzą na linię Zygfryda!

- Brednie! Chociaż nie byłem w wojsku i bezprawnie noszę odznaki kapitańskie, jestem zupełnie pewny, że ta wojna będzie znacznie dłużej trwała niż pierwsza światowa. A jeżeli Związek Radziecki i Ameryka nie przystąpią do koalicji, to może trwać nawet dziesięć lat i ludzie w Polsce przeżyją rzeczy, o jakich się nikomu nie śniło. Dlatego radzę ci szczerze: chodź z nami. Ja na pewno nie jestem gorszym dowódcą niż całe setki tych wymuskanych oficerków, których widziałeś wiejących samochodami lubelską szosą, a ty, jako mój adiutant, również nie będziesz od nich gorszy. O